

A misty, autumnal street scene. The image is dominated by warm, golden-yellow and brown tones. On the left, a brick building with a decorative archway is visible. The street is lined with trees, their branches bare and silhouetted against the hazy background. A lone figure is walking away in the distance, their form softened by the mist. The overall atmosphere is melancholic and nostalgic.

Marcin Królik

Umarli rzucają cień...

DRZEWO RÓŻANE

RW2010

MARCIN KRÓLIK
DRZEWO RÓŻANE

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marcin Królik 2013

Okładka Copyright © Dalia Żmuda-Trzebiatowska

zdjęcia na okładce © Tryfonov / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-82-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010

ROZDZIAŁ 1: Echa burzy

Stojąc w rozświetlonej kuchni, z rękami ciasno splecionymi na piersiach, patrzyła beznamiętnie na śmigłowiec wiszący w powietrzu tak nisko, że prawie muskał płozami dach bloku po przeciwnej stronie ulicy. Łopaty wirujące nad smukłym, pszczelim korpusem zlewały się w morderczy, lśniący dysk. Czającemu się w progu Bartkowi zaświtało złe przypuszczenie, że źródłem fascynacji, z jaką jego żona kontempluje ten hipnotyczny widok, jest myśl, iż mogłaby dostać się pomiędzy młóćące wiosła i zostać przez nie poszatkowana. Obsesja samounicestwienia, mimo iż Paulina dokładała wszelkich wysiłków, także farmakologicznych, by trzymać ją na wodzy, uparczywie trwała za kulisami, zawsze gotowa wychynąć i zepsuć tkany z trudem gobelin. Terapeutka, do której Paulina jeździła dwa razy w miesiącu, przestrzegała, że taki stan może się utrzymywać jeszcze dosyć długo, ale – na litość boską! – minął już ponad rok!

Najczarniejszy rok – dodał w duchu Bartek.

Bezpośrednio po Tym – Paulina nadal z oporami nazywała rzecz po imieniu i w końcu Bartek również nauczył się traktować ją bezosobowo, co niewątpliwie nie było dobre dla procesu leczenia – wydawało mu się, że psychoterapii, stanowczo zalecanej przez lekarza prowadzącego, da się uniknąć. Przez kilka pierwszych tygodni Paulina sprawiała wrażenie pogodzonej z sytuacją. Nawet umieli o Tym spokojnie rozmawiać, analizować, zwierzać się z towarzyszącymi im uczuć, planować przyszłość. Jednak w czerwcu Paulina nagle zupełnie się rozsypała. Oznajmiła mu stanowczo, że zamierza poddać się terapii, bo jeśli tego nie zrobi, zwariuje do reszty. Psycholog z cisowskiego PCPR, do którego zwróciła się o poradę, dał jej namiar na jedną z renomowanych, a przy okazji droższych warszawskich specjalistek, której usług nie refundował Narodowy Fundusz Zdrowia.

Ale pieniądze – dwieście złotych za sesję, najpierw co tydzień, a od stycznia co dwa tygodnie – były naprawdę najmniejszą ze zmór. Okazało się, że terapia miała siłę młota pneumatycznego uderzającego w rurę szamba, z której nagle pod gigantycznym ciśnieniem zaczęły wybijać nieczystości, nagromadzone nie wiadomo kiedy, i tak wstrętne, że blakły przy nich słowa. Najgorsza zaś była pod tym względem zima. Bartek mógł ją porównać tylko do koszmarnego snu o podróży przez mroczną komnatę pełną potworów. Najzupełniej realnie bał się, że Paulina może spróbować popełnić samobójstwo. Podczas lekcji, tłumacząc licealistom z „Nałkowskiej” meandry angielskiej gramatyki, nie mógł odegnać wizji, w której wracał po południu do domu i znajdował ją w wannie pełnej krwi, powieszoną na żyrandolu bądź leżącą w poprzek łóżka z pustym opakowaniem po proszkach nasennych w ręce. Podświadomie spodziewał się telefonu, że w ich mieszkaniu ulatnia się gaz. Nękało go też podejrzenie, że któregoś dnia Paulina zamiast wrócić z galerii, gdzie prowadziła sklep z akcesoriami sportowymi, najzwyczajniej zniknie, a po kilku dniach policja znajdzie jej zwłoki w jakimś odległym hotelu lub co gorsza w lesie. Na pewno rozważała skończenie ze sobą.

Którejś grudniowej nocy, po bardzo złym popołudniu, gdy Paulina na kilka godzin zamknęła się w łazience, a później nie chciała z nim rozmawiać, Bartek, tknięty przecuciem, odchylił rękaw jej piżamy i dostrzegł ślady ugryzień oraz owalne siniaki mogące być pamiątką po szczypaniu. Nie wątpił, że samookaleczenie zdarzyło się jej nie po raz pierwszy, i gdyby poszukał, znalazłby na jej ciele więcej makabrycznych pieczętek. Była to jedyna chwila, kiedy bardzo poważnie rozważał porzucenie jej; leżąc w bezsennej ciemności, zaczął sobie na zimno układać w wyobraźni scenariusz rozstania.

– Ciekawe, czemu on tam tak wisi – odezwała się, a Bartek ponownie przyłapał się na tym, że usiłuje wysondować, czy w jej głosie nie kryje się mrok. Ale na szczęście brzmiał normalnie. *A jeśli to tylko cisza przed burzą?*

– Może prowadzą jakieś pomiary meteorologiczne albo robią zdjęcia – odparł, zakładając lekką płócienną kurtkę. Zbliżała się osiemnasta, powinien był wyjść już kilka minut temu. – A może kogoś szpiegują.

Paulina wypuściła z palców brzeg firanki i flegmatycznie odwróciła się od okna. Nimb rozświetlający pszenne, spływające luźno na ramiona włosy sprawiał, że twarz częściowo skrywał cień. Bartek domyślił się, co za chwilę usłyszy.

– Nie idź. Podaruj sobie dzisiaj.

– Daj spokój. – Tę kwestię zawsze wypowiadał protekcjonalnie. Sięgnął po torbę i przerzucił sobie pasek ukośnie przez tors. Tę szpanerską dziennikarską torbę – nylonową, zapinaną na rzepy, ze skórzanymi wstawkami i mnóstwem sprytnych schowków – Paulina kupiła mu trzy lata temu, w innej epoce, w świecie przed zaćmieniem i szambem. – Godzina, góra półtorej i będę z powrotem.

– Zawsze tak mówisz, a później siedzisz tam Bóg raczy wiedzieć jak długo i po kiego czorta! – zachnęła się, co, podobnie jak jego próby pacyfikowania jej, stanowiło część coczwartkowego spektaklu. – Te wasze niby kolegia mają tyle sensu, co durszlak bez dziurek. Sobotka chrzani jakieś głupoty, napawa się swoją urojoną wielkością znamienitego liryka, a wy mu przytakujecie.

– Nie przesadzaj, czasem coś musimy ustalić.

Paulina miała stuprocentową słuszość. Kolegia redakcyjne w cisowskim *Echu* były w istocie przeciągającymi się niekiedy nawet do trzech godzin seansami chwalby własnej Waława Sobotki, założyciela, redaktora naczelnego i głównego autora największego i najbardziej opiniotwórczego tygodnika w powiecie. Sprawy organizacyjne – podział tematów do następnego numeru, krótkie podsumowanie numeru bieżącego, który po całonocnym składzie miał w piątek rano trafić do czytelników – załatwiali w przeciągu kwadransa. A potem Waław Sobotka mógł się już bez przeszkód puszyć, zadręczać zespół najnowszymi wierszami, wieszać psy na każdym, kto w minionym tygodniu ośmielił się nadepnąć mu na odcisk (taki desperat

mógł z pewnością liczyć na zawołaną, acz zjadliwą aluzyjkę w najbliższym wstępniaku), ewentualnie, gdy miał dostatecznie szampański nastrój, posłać kogoś po piwo do delikatesów na dole bądź – co już stanowiło szczyt łaskawości naczelnego – wydobyć z podręcznego barku butelkę wina lub nalewki.

Bartek nieraz wyrzucał sobie, że w zadymionym, dusznym gabinecie Sobotki traci cenny czas, który mógłby wykorzystać na pisanie. Na dobrą sprawę wystarczyłoby wziąć przysługujący każdemu dziennikarzowi egzemplarz przywiezionego świeżo z drukarni numeru, wpisać do grafiku propozycje tematów na przyszły tydzień – co i tak w gruncie rzeczy nie miało znaczenia, bo artykuły, o które Sobotka potrafił upominać się telefonicznie, gdy zbliżał się dzień składu, prawie nigdy nie ukazywały się na czas – i wracać. Jednak z reguły wytrzymywał do końca, a bywało, że wdawał się z Sobotką w dyskusje o literaturze, w których najwybitniejszy lokalny liryk i autor opublikowanego we własnej agencji wydawniczej tomiku metafizyczno-miłosnej poezji zatrzymał się mniej więcej na etapie Leśmiana. Bartek po prostu potrzebował tych cotygodniowych nasiadówek dla higieny psychicznej. Pozwalały mu się oderwać od domowego czyścca, zresetować myślenie. Powroty były jak wsuwanie stóp w przyciasne buty.

– Tylko proszę cię, nie zabaluj tam! – Błagalny, prawie zrozpaczony ton w jej głosie zawsze ranił mu duszę i wpędzał w poczucie winy. Nie lubiła zostawać sama w domu. W strasznych zimowych miesiącach najczęściej jej ulegał i wracał najdalej po pół godziny, ale teraz, kiedy mrok się przerzedził, postanowił być twardy.

Wszedł do kuchni, objął ją i pocałował w policzek. Była daleka i chłodna – nic nowego w czwartek po południu.

– Postaram się wymiksować jak najszybciej – obiecał, wiedząc, że tego nie zrobi, a kiedy po zbyt późnym powrocie będzie mu czyniła wymówki, usprawiedliwi się sprawdzonym tekstem, że Sobotka tak zamieszał, iż ważne sprawy rozsiały się po całej dyskusji, więc nie mógł wyjść wcześniej.

– Co będziesz robić? – zapytał, gładząc ją czule po włosach, co zazwyczaj odrobinę ją obłaskawiało.

– Nic szczególnego, jak zawsze – westchnęła zrezygnowana – pooglądam telewizję, posiedzę w necie, zrobię kolację. Co byś zjadł?

– Kotku, cokolwiek naszykujesz, będzie pyszne.

– Mogą być parówki zapiekane z serem? – grała na zwłokę.

– Pewnie, że tak.

Chciał się odsunąć, lecz ona nagle przywarła do jego pleców, mocno, całym ciałem, wpijając paznokcie w materiał kurtki. Czuł, jak drży. W zimie zdarzało się, że chwyciła go za przegub i nie chciała wypuścić, dopóki się nie wyrwał. Teraz nie chciał tego robić, wytrzymał więc jej natarcie z kamienną miną, marząc w duchu, by wreszcie wybiec na ulicę – w przedwieczorną jasność kwietniowego słońca, na powietrze, które wywieje mu z głowy klaustrofobiczny czad.

– Tak bardzo nie chcę zostać sama – prawie łkała.

Najdelikatniej jak umiał, odsunął ją i zajrzał w jej zeszkłone łzami, ciemnoniebieskie oczy. Rosła w nim bezradność i frustracja – najwierniejsze psy nieodstępujące jego nóg, odkąd Paulina zaczęła wysączać z siebie cuchnący szlam.

– Przecież wiesz, że tak nie można – powiedział, siląc się na rozsądek.

Przełknęła ślinę.

– Tak, wiem. – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Ale proszę cię: załatw, co masz do załatwienia, i wróć. Pamiętaj, że musisz jeszcze poświęcić czas na twórczość.

Tym razem chyba naprawdę nie wychwycił w jej słowach przekąsu. Po czasochłonnych redakcyjnych kolegiach godziny, które spędzał przy laptopie w drugim pokoju, usiłując wydusić z siebie kilka stron prozy, były jej wrogiem numer dwa. Kiedy próbował tłumaczyć się potrzebą skupienia, wyrzucała mu, że robi wszystko, by jej unikać. Jeśli w ciągu tygodnia udawało mu się wyrwać trzy, cztery godziny na pisanie, uważał to za cud. Niestety, odkąd zaczął z niej wybijać szlam,

musiał przystać na kompromis i pozwalał jej siedzieć obok na wersalce, co z kolei kompletnie go rozpraszało. I tak zaklęty krąg się zamykał.

Na dziennikarskie chałtury zabierał ją ze sobą. Było to o tyle łatwe, że odkąd po niebagatelnych utarczkach z naczelnym ograniczył się do spraw kultury, zajmował się głównie relacjonowaniem wernisaży, koncertów i najogólniej pojętym trzymaniem ręki na kulturalnym pulsie powiatu.

– Kochasz mnie? – przetrzymywała go Paulina.

– Jasne.

– Przepraszam, że się tak ciągle dopytuję, ale gdybym nie pytała, sam z siebie prawdopodobnie nigdy byś mi nie powiedział.

– Zabawne, że zawsze chcesz to wiedzieć, kiedy mam zamiar wyjść – odparł, niecierpliwie zaciskając dłoń na klamce.

– Chcę mieć pewność. Aż tak dużo cię to kosztuje?

– Na razie, mała.

Jego felieton spadł. Oczywiście należało się tego spodziewać. Waław Sobotka, deklarujący przychylność dla młodych artystów, szczególnie literatów, zawsze znajdował wytrych, by nie puścić Bartkowi felietonu. Najczęściej przegrywał z wkładką reklamową – „no sam pan przecież rozumie, że reklama to pieniądz, a bez pieniędzy nie ma jak robić kultury” – albo z pilnymi materiałami z ostatniej chwili – „spokojnie, pańskie dywagacje są ponadczasowe, więc będą jak znalazł, kiedy zabraknie kwestii bieżących”. Żelaznym punktem każdego numeru musiały też być zdjęcia noworodków – to też zarobek, bo szczęśliwi rodzice zamawiali profesjonalne odbitki.

Dziś Waław Sobotka się spóźniał.

– Mąż utknął na posiedzeniu rady miasta – poinformowała wdzięcznie Amelia Sobotkova. – Prosił, żebyście zaczekali tak mniej więcej do siódmej. A dla pana ma coś ekstra – zwróciła się konspiracyjnie do Bartka.

Amelia Sobotkova była dobrym duchem redakcji, księżycową obecnością łagodzącą wulkaniczne wybuchy męża. Prowadziła biuro: przyjmowała ogłoszenia, dbała o dostarczanie na czas rozliczeń podatkowych i realizację przelewów. Pełniła ponadto rolę wizytówki – zawsze elegancka i świeża mimo prawie pięciu krzyżyków na karku, stanowiła wyśmienite preludium do spowitej w dymie mentolowych papierosów audiencji u szefa, lub osłodę i wytchnienie po niej, kiedy naczelnego opuszczały muzy i stawał się zgryźliwy. Przed współpracownikami zaś służyła małżonkowi za adwokata, potrafiącego dyplomatycznie usprawiedliwić każde zaniechanie, nie wyłączając nadzwyczaj częstych opóźnień w płatnościach.

Dziś wypadło jej świecić oczami przed Bartkiem. Żadna nowość.

– Ten insert od Więcka przyszedł wczoraj późnym wieczorem i mąż musiał podjąć szybką decyzję. Mam herbatkę z dzikiej róży, napije się pan?

– Chętnie. – Bartek nie potrafił jej odmawiać. – Ale tak nie może być! Żeby rubryka zasiedziała się w świadomości czytelników, musi chodzić z pewnością, niekoniecznie zaraz cotygodniową, ale jednak jakąś regularnością, a nie od przypadku do przypadku, kiedy akurat zwalnia się miejsce na makiecie.

– Ma pan rację, tylko sam pan widzi, że mąż średnio to rozumie. – Strategia na empatię była niezawodna. – Trzeba być cierpliwym.

Nastawiła wodę w elektrycznym czajniku, wyjęła z szafki nad zlewem jego ulubiony zielony kubek i nasypała herbaty.

Obszerniejszy i dłuższy z dwóch redakcyjnych pokoi dzielił się na trzy umowne części. Na wprost drzwi mieściła się sekcja biurowa. Na prawo, w kiszkowatej arterii, do połowy zajętej przez szafę kryjącą prawie cały nakład debiutanckiego tomiku Sobotki, znajdowały się stanowiska komputerowe. Na lewo, w aneksie kuchennym,

pozostałym po czasach, gdy w budynku przy Powstańców Śląskich urzędował hotel robotniczy, Amelia Sobotkowa urządziła kącik gospodarczy. Przygotowywała w nim posiłki dla męża, który z redakcji uczynił swój drugi, a właściwie pierwszy dom. Powietrze, nawet przy otwartym oknie, zawsze było tu suche od pracujących bez przerwy komputerów i drukarek.

– Cierpliwość, mój drogi przyjacielu, to jest cnota każdego twórcy. – Waldek Kuśmierz, ze szklanką sypanej kawy w rękę, wychynął ze swojej niszy między szafą a oknem, gdzie spędzał większość redakcyjnego czasu, grając w gry internetowe lub wyszukując dowcipy, które później sprzedawał na kolegiach.

Pan Remigiusz – weteran lokalnego dziennikarstwa i spec od samorządności potulnie objeżdżający sesje we wszystkich gminach i patriotyczne akademie, z których zawsze przywoził pęczniejące od nazwisk oficjeli laurki – uniósł skryte za grubymi szklami oczy znad swojego egzemplarza gazety. Jak zwykle był w garniturze i pod krawatem, a dziś dodatkowo rozsiewał dyskretną woń kieliszeczka. Na kolegium wpadł wprost z jakiegoś capstrzyku dla kombatantów.

– Ech, żebyś ty, Waldi, był taki cnotliwy. – Zaniósł się tubalnym śmiechem, po czym stuknął paznokciem w stronę ze swoim artykułem. – I znowu żeście poprzekręcali! A potem na mnie w gminach wilkiem patrzą.

– Co? Gdzie? – Waldek udawał niewiniątko.

– O! – Pan Remigiusz podsunął mu pod nos otwartą gazetę. – Umiesz czytać czy mam ci zacytować? W jakiej Małej Siennej? W Makach Siennej! Trzy kilometry dalej na wschód! – Dla podkreślenia wagi problemu pan Remigiusz zdjął okulary i przetarł soczewki flanelową szmatką wydobytą z kieszeni na sercu.

– O Jezu, też mi różnica! – bronił się Waldek.

– Dla ciebie żadna, a dla sołtysa kwestia życia i śmierci. Wyście chochlika puścili, ale to ja będę wysłuchiwał pretensji, ja będę musiał was usprawiedliwiać.

– Ja ciebie, że tak powiem, ogromnie, Remuś, przepraszam – Waldek wciąż nie poczuwał się do odpowiedzialności – ale nie żadne „wyście”, tylko szef. Ja ci w tekstach nie grzebię. Dostaję do korekty już gotowy wydruk. Może stażystka pomyliła się przy przepisywaniu? Remuś, ja tu tylko od stawiania parafki jestem, kto inny pociąga za sznurki. – Mrugnął porozumiewawczo do Bartka.

Amelia Sobotkowa postawiła przed nim kubek z parującym naparem.

– Trzeba po prostu bardziej pilnować stażystów – orzekła. – Przy rękopisie zawsze może się zdarzyć niedopatrzenie. Pan, panie Remigiuszu, mógłby nadzorować i od razu, na gorąco prostować pomyłki.

– Albo byś się wziął za naukę komputera – dorzucił Waldek, wysączając resztki płynu z fusów.

Stropiony pan Remigiusz tylko machnął ręką bez słowa. Dochodziła siódma i nic nie wskazywało na to, by ktoś z zespołu miał jeszcze dotrzeć. Oprócz nich trzech do *Echa* regularnie pisywała maturzystka z „Sienkiewicza” zajmująca się sportem i studentka dziennikarstwa w ramach praktyk. Reszta zespołu – głównie, jak Bartek, nauczyciele z miejscowych szkół – pojawiała się epizodycznie. Bartek pamiętał lepsze czasy w *Echu*, kiedy w czwartkowe popołudnia redakcja roiła się od ludzi. Większość z nich, w tym współzałożycielka pisma, prędzej czy później opuszczała pokład z powodu kłótności szefa bądź kuriozalnych stawek. Kilka osób wytoczyło Wacławowi Sobotce procesy o niewypłacenie zaległych honorariów z tytułu umowy o dzieło – jedynej formy zatrudniania dziennikarzy, jaką praktykował. Na etacie zatrudniał tylko grafika i fotografa, którym – tak się ciekawie składało – był jego syn.

Bartek wciąż się trzymał, bo mimo całego tępego prowincjonalizmu Sobotki mógł czasem opublikować coś więcej niż lokalną siekaninę. Kiedy jako student trzeciego roku anglistyki zjawił się w *Echu*, żeby – jak wyjaśnił Sobotce – gdzieś się literacko zaczepić, redaktor przyjął go z otwartymi ramionami, po czym rozwiął jego

złudzenia co do własnego, niekoniecznie oscylującego wokół lokalnych spraw, ambitnego felietonu. Wtedy Bartek szybko się zniechęcił, ale dostawszy kilka razy po tyłku od dużych wydawców i czasopism, postanowił wrócić, i udało mu się wykroić dla siebie kawałek przestrzeni. Współpracę z *Echem* traktował jak formę pisarskiego przetrwalnika, a przy okazji dorabiał do belferskiej pensji. Oprócz zwykłych artykułów i nieszczęsnych felietonów, których pojawienia się na łamach nigdy nie mógł być pewien, był odpowiedzialny za stałą rubrykę pod tytułem *Flesz kulturalny*, w której polecał godne uwagi książki, muzykę, filmy na DVD oraz pozycje telewizyjne. Dzięki temu jego dodatkowy dochód wpływał na konto w miarę regularnie i wahał się kilka kresiek ponad poziomem śmieszności.

Amelia Sobotkowa wyłączyła swój komputer, zabrała z biurka klucze i sięgnęła po płaszcz wiszący na pająku przy drzwiach. Oznaczało to, iż przynajmniej jeden z nich będzie musiał zaczekać na Sobotkę, żeby przypilnować otwartej redakcji. W takich sytuacjach zwykle zostawał Waldek, który – jak głosiła tajemnica poliszynela – od rozvodu miał problemy z dachem nad głową i pomieszkiwał w redakcji, w zamian za co Sobotka uczynił go etatowym woźnym. Amelia Sobotkowa wyjęła z torebki komórkę, upewniła się, że sesja jeszcze trwa, po czym wezwała taksówkę i pożegnała się.

Kiedy zostali sami, Waldek ponownie zanurkował w swoją niszę i zatopił się w cyberprzestrzeni, a pan Remigiusz podszedł do Bartka, trącił go w łokieć i zezując w bok, zapewne po to, by się upewnić, czy Waldek, redakcyjny wazeliniarz i donosiciel, nie podsłuchuje, powiedział konspiracyjnie:

– Lekturę dla pana mam.

Bartek uniósł brwi. Czyżby znów jakiś patriotyczny albo kościelny okólnik, w którym pan Remigiusz drukował w tajemnicy przed Sobotką? Czasem wciskał Bartkowi tego rodzaju okolicznościowe efemerydy, surowo przykazując, żeby – broń Boże! – nie wygadał się przed szefem. „Bo to, panie, zazdrosne jest, jak ktoś drukuje

gdzieś indziej. Zazdrosne i zawistne” – dodawał, zniżając głos do konfidencjonalnego szeptu.

Schylił się po sfatygowaną aktówkę, opartą o pająka, chwilę w niej pogmerał i wyjął broszurkę w kremowej okładce. Położył ją na stole przed Bartkiem, który rzucił okiem na tytuł: *Mędracy Syjonu*. Podniósł pytające spojrzenie na pana Remigiusza.

– Tutaj są fakty dotyczące światowego żydostwa – wyjaśnił pan Remigiusz, stukając palcem w blat stołu, jak zwykle gdy chciał podkreślić szczególną istotność tego, o czym akurat mówił. – Wszystko zebrane w pigułce: jak się zagnieździli w największych bankach, instytucjach międzynarodowych, rządach państw. To, panie drogi, daje do myślenia. A co – nachylił się nad Bartkiem tak nisko, że owionął go zapach trawionego powoli alkoholu – a nasze Słońce Karpat to niby nie Żyd?

Bartek zbył to zakłopotanym uśmiechem. Czuł się niezręcznie, ilekroć pan Remigiusz próbował przekonywać go do swoich racji – zwłaszcza gdy czynił wysiłki, żeby go nawracać na aktywny katolicyzm. A rozmów o globalnym spisku Żydów i zaszyfrowanych w Talmudzie wytycznych unikał już w szczególności. Nie tylko dlatego że w gronie znajomych miał Żydówkę i lojalność nakazywała mu przeciwstawiać się wszelkim przejawom antysemityzmu. Głównym powodem był brak argumentów. Uważał się za liberalnego intelektualistę, jednak już nieraz przekonał się, że ludzie pokroju pana Remigiusza, ukształtowani przez patriotyczną i religijną tradycję, która z biegiem lat stała się niezbywalnym składnikiem ich natury, są okopani w swoich poglądach niczym w wojennych szańcach pośrodku oblężenia i dyskusja z nimi w najlepszym wypadku wsiąknie w próżnię, a w najgorszym – wywoła falę agresji.

Z panem Remigiuszem praktykował przyjacielskie, łagodne przeciąganie liny, jednakże temu najwyraźniej znudziły się już mdłe pojedynki na słowa i w gorliwym misyjnym zapale odkłamywania rzeczywistości przeszedł do ataku frontalnego. Od

teraz zacnie zabląkanemu młodzieńcowi, którego popsuły nieodpowiednie gazety, podsuwać oświecające książki, i to bynajmniej nie o Orle Białym ani generale Andersie, tylko od razu z grubej rury, o syjonistycznych tajniakach dążących do stworzenia planetarnego rządu z siedzibą na Manhattanie. Ataki z jedenastego września wprawdzie popsuły im szyki – opanowane przez Żydów World Trade Center miało być pierwszym przyczółkiem przyszłej władzy, ale zbudują nowe, jeszcze silniejsze. O to pan Remigiusz gotów był się założyć się o ostatni grosz.

– Pięknie! – entuzjastycznie krzyknął zza szafy Waldek. – Osiemdziesiąty trzeci level! Nikt mi teraz nie podskoczy!

– A ten Gross, panie, ten od Jedwabnego – kontynuował pan Remigiusz, nie przestając raczyć Bartka oparami wódki – to jest, panie, ich narzędzie propagandowe, ich szczekaczka. Przejęcie władzy zawsze zaczyna się od prania mózgow. Nie powiem, żeby całkiem nie było mordowania, szmalcownictwa czy grabienia pożydowskich majątków. Ale, panie, ani w takiej skali, jak on twierdzi, ani nieprawda, że Żydki nie dostały zadośćuczynienia. Mało złota do Ameryki wywieźli?

– Chyba jednak trochę zbyt pan upraszcza – zaryzykował Bartek, wiedząc, że zaraz tego pożałuje.

Pan Remigiusz skarcił go znaczącym dźgnięciem w obojczyk.

– Zapamiętaj pan, Żydki zawsze na cztery łapy spadną. Jak koty. Nie bez kozery mawia się, że ich dusze potrafią się ukrywać w kocich ciałach. To już taki przemyślny ludek, mają to we krwi. A jaki u nich instynkt stadny! W razie potrzeby jeden za drugim murem stanie, wesprze. No a nasz Sobotka – pan Remigiusz przybliżył twarz tak, że prawie ocierał się wargami o policzek Bartka – on też zawsze na swoje wyjdzie. No, ile pan u niego zarabiasz? Pan się będzie szarpał jeszcze Bóg wie ile lat, a on za rok znów zmieni sobie samochód. A jak mu ta gazetka splajtuje, to i tak głodny nie będzie chodził.

Wacław Sobotka bezszelestnie wsunął się do redakcyjnego przedpokoju, co rzeczywiście mogło budzić kocie skojarzenia.

– A, jesteście – rzucił, nie zatrzymując się w drodze do gabinetu, w którym przez cały czas cicho szemrało radio. – To chodźcie, chodźcie, zamienimy parę słów.

– No, wiara, przełożony wzywa do apelu! – Pan Remigiusz, nagle kordialny i zmobilizowany, podreptał do gabinetu w ślad za Sobotką.

Twórca najpopularniejszego w powiecie tygodnika, główny rozgrywający na rynku lokalnych mediów, animator kultury i poeta w jednej skromnej gabarytowo, ale wielkiej duchem osobie, zapalił papierosa. Cienka smużka dymu wiła się w świetle biurkowej lampy i bez pośpiechu ulatywała w fioletowy zmierzch. Sobotka, zapadłszy się w skórzany fotel, jeszcze wydatniej uwypuklający jego niski wzrost, przez kilka chwil delectował się smakiem nikotyny, z przymkniętymi oczami, nie zważając na oczekujących w napięciu podwładnych.

Okno za zagłówkiem fotela wychodziło wprost na urząd miasta. Wacławowi Sobotce niezmiernie schlebiało poczynione niegdyś przez Bartka spostrzeżenie, że w tym wpatrywaniu się w siebie dwóch najważniejszych władz współczesnej demokracji tkwi coś nieodparcie literackiego, co aż prosi się o wykorzystanie w powieści. Sobotka odparł wtedy, że nie omieszka umieścić tego motywu w autobiografii, którą zamierza napisać, gdy w końcu przejdzie w stan spoczynku. Od wiejskiego nauczyciela, po przywiezionego do Cisowa w partyjnej teczce dyrektora zespołu szkół mechanicznych, i *last but not least* – cudowne dziecko młodego kapitalizmu, potrafiące złapać w żagle przychylny wiatr niedostrzeżonej przez nikogo przed nim koniunktury na profesjonalną gazetę, bliską ludziom i ich sprawom. Cała jego mikra sylwetka aż promieniowała dumą.

Klucz do sukcesu był banalnie prosty: dać ludziom dokładnie to, czego chcą. A chcieli informacji z własnego podwórka, okraszonych dużą liczbą kolorowych

zdjęć, najlepiej takich, na których rozpoznawali siebie. Nie od rzeczy była też kontrowersyjność – starsi pracownicy poczty głównej do dziś pamiętali, jak wystrzałowy redaktor, wtedy jeszcze na dziennikarskim dorobku, tropił przekręty w paczkowni; a obecny burmistrz, wybrany zimą po zwieńczonym skandalem kilkunastoletnich rządach Jerzego Boruckiego, już zdążył się przekonać, iż kierowanie przeciw Sobotce pozwu o zniesławienie w trakcie kampanii nie było, eufemistycznie ujmując, mądrym posunięciem. Naczelnemu *Echa* nie zaszkodziła nawet polityczna wolta w prawo i przedziwny alians z namaszczanym przez Boruckiego kontrkandydatem do ratusza. Pojawiające się z rzadka nieśmiałe pytanie o to, ile kosztuje zmiana poglądów, kwitował bez sentymentów: „Z nieudacznikami, szujami i malkontentami nie dyskutuję!”.

– Spałem dziś wszystkiego może ze dwie godziny – poskarżył się, rozluźniając krawat. – Do szóstej rano składaliśmy numerek. – To heroiczne wyznanie skierował do Bartka i pana Remigiusza, bo Waldek, podpierający teraz nonszalancko futrynę, stale towarzyszył naczelnemu w powtarzających się co tydzień bólach porodowych. – Gdybym tego nie kochał, rzuciłbym w cholerę i pismo, i to nieszczęsne, skołtunione miasto.

Wysłuchał skargi pana Remigiusza – za pomyłkę zwyczajowo oberwał Waldek, który zwyczajowo zgiał kark, przysięgając w duchu ulokowaną w bliżej nieokreślonej przyszłości zemstę – a potem zwrócił się do Bartka:

– Niech mi pan powie, mój komentatorze kultury, co tam z wieżą ciśnień?

Bartek wydał usta i zmarszczył czoło.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałem o niej z Cieleszem, podtrzymywał projekt urządzenia tam obserwatorium.

Wieża ciśnień – straszący za połączonym kompleksem dworców PKP i PKS obły relikw komuny – po blisko dwóch dekadach bezproduktywnego popadania w ruinę otrzymała szansę na wielki powrót. Autorem i gorącym propagatorem

pomysłu, żeby krwawiącego wilgocią industrialnego trupa reanimować jako przestrzeń kultury, był Edmund Cielesz, prężny i, jak kiedyś określił go z rzadkim podziwem Sobotka, ekspansywny dyrektor cisowskiego MOK. Cielesz początkowo chciał uruchomić tam galerię sztuki z klimatyczną kawiarnią, w której mogłaby się spotykać miejscowa inteligencja – zeszłej jesieni odbyła się nawet nocna wystawa w blasku świec i kłębach pary z ust, którą Bartek bardzo przychylnie zrecenzował – ale inspektorat nadzoru budowlanego uznał obiekt za zbyt niebezpieczny, a poproszony o opinię architekt za zbyt ciasny na pomieszczenie stałej ekspozycji, o kawiarni nie mówiąc, więc projektu galerii nie dało się przeforsować.

Wszelako następna wizja Cielesza, by stworzyć w wieży obserwatorium astronomiczne, już rezonowała wśród przynajmniej niektórych decydentów ostrożnym entuzjazmem. Ten jednak natychmiast wiądl, gdy zaczynano debatować o pieniądzach. Swego czasu, na fali szczytowej antypatii do Boruckiego, Wacław Sobotka wylał morze farby drukarskiej, grząc o inwestycyjnej ślepotie burmistrza i haniebnym marnotrawieniu niszczących dóbr; od wieży, zwanej przez mieszkańców pieszczotliwie Grubą Jolką, po willę doktora Horoszewicza, nadającą się jak znalazł na muzeum ziemi cisowskiej. Cielesz znalazł prywatnego sponsora gotowego wyłożyć część funduszy na obserwatorium, jednak wsparcie miasta okazało się nieodzowne. Ale tego niestety, zdominowana przez niechętną dyrektorowi prawicę, rada skąpiła. Czyżby zmiana frontu?

– A widzi pan! – Sobotka wychylił się w przód. – Felietonista uważający się za znawcę kultury nie wie, a ja wiem! – Zaiskrzyły mu się oczy. Nigdy nie przepuszczał okazji, by zamanifestować nad kimś wyższość. – No więc informuję pana, że obserwatorium przeszło. Nowy władca chce się przypodobać partii, która go intronizowała, i wyrzuci kilka publicznych milionów w błoto dla spragnionej nieba wyborczej gawiedzi. Populizm galaktyczny! No, to dobry tytuł na mój felieton na przyszły tydzień. Albo... w siłkach komet.

W gabinecie zapanowała nieprzyjemna konsternacja. Bartek wytrzymał wzrokowe natarcie Sobotki z kamienną twarzą.

– Ale to jeszcze nic, drogi panie – naczelny sięgnął po następnego mentolowego papierosa – huczne otwarcie przewidziano już na przesilenie letnie. A jakby tego było mało, gościem honorowym ma być gwiazdor zza oceanu. Philip Rosen, mówi to panu coś?

Bartek przeskanował podręczny zasobnik pamięci, ale niczego nie znalazł.

– No, to jest niespodzianka dla nas wszystkich. A może pan, panie Remku?
– Sobotka rósł w fotelu z radości.

– Ja? – Pan Remigiusz skulił się na składanym krześle.

– A Rosenbaum?

Pan Remigiusz wytężył pamięć, wspomagając się kontemplowaniem boazerii, którą wyłożono ściany gabinetu.

– Rosenbaum – powtórzył – no, był tu w Cisowie taki jeden Rosenbaum. Chaim Rosenbaum, Żyd, krawiec. Ale on i jego żona za okupacji zginęli. – Pan Remigiusz oprócz etykiety eksperta od samorządów i patriotyzmu, cieszył się także autorytetem niezrównanego historyka-amatora.

– Ale nie wiedział pan, że miał syna? – Sobotka przykręcał śrubę.

– Nic o tym nie słyszałem – bąknął speszony pan Remigiusz. – Ale dzieje Żydów to u nas szwajcarski ser pełen dziur. Rosenbaum, z tego co sobie przypominam, posiadał niezłe prosperujący zakład krawiecki, ale o dzieciach nic nie wiem.

– Nikt nie wiedział. – Naczelny rozgrzeszył historyczne dyletanctwo pana Remigiusza. – Felek Rosenbaum był jego jedynym potomkiem. W chwili wybuchu wojny miał osiem lat, a po likwidacji getta słuch po nim zaginął. Otóż okazało się, moi drodzy, że Felek przeżył w ukryciu i zaraz po wojnie, mając zaledwie siedemnaście lat, przedostał się do Stanów Zjednoczonych, do jakichś dalekich

krewnych Rosenbaumów. Tam zmienił tożsamość, skończył studia i został astrofizykiem.

Pan Remigiusz nie mógł wyjść ze zdumienia.

Sobotka wyjaśnił im, że na trop syna Rosenbauma, dziś emerytowanego profesora uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, przypadkowo natrafił Cieleisz, szukając w Internecie publikacji o podstawowym wyposażeniu niezbędnym dla małych obserwatoriów. Kiedy przerzucał zasoby Google, w oczy rzuciło mu się nazwisko Rosen. Napisany po angielsku artykuł nie dotyczył wprawdzie obserwatoriów, lecz czarnych dziur, jednak nazwisko autora poruszyło w nim jakąś bliżej nieokreśloną strunę. Szybkie wirtualne śledztwo doprowadziło go do sieciowego periodyku o kosmologii, w którym Rosen publikował. W lapidarnej notce biograficznej napisano, że profesor Philip Rosen urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku w środkowej Polsce i po wojnie wyemigrował do USA.

Cieleisz, który całą tę historię opowiadał dziś na sesji, skojarzył ów fakt z wystawą poświęconą cisowskim Żydom, którą Miejski Ośrodek Kultury zorganizował dwa lata temu. Wysłał na redakcyjną skrzynkę periodyku skierowany do Rosena mail, w którym zapytywał, czy profesor przypadkiem nie jest w jakiś sposób skoligacony z Cisowskimi Rosenbaumami. Jak mówił, nie liczył na odpowiedź. Jednak już po kilku dniach profesor odpisał z prywatnego adresu i potwierdził, że Cisów jest jego miastem rodzinnym, zaś zabity podczas wojny krawiec Rosenbaum to jego ojciec.

– Nieprawdopodobne – pan Remigiusz kręcił głową – niesamowite.

– Ale co się właściwie z nimi stało, z tymi Rosenbaumami? – chciał wiedzieć Bartek. – Zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego?

– Nie, zamordowano ich tu, na miejscu. – Bartka uderzył kontrast między nabożną tonacją tego stwierdzenia a tym, co pan Remigiusz mówił przed rozpoczęciem zebrania o spiskujących Żydach. – Ledwo Niemcy weszli do Cisowa,

utworzyli getto i przesiedlili do niego wszystkich Żydów z miasta, a potem zaczęli ich zwozić z powiatów ościennych. Dla tamtych to była tylko stacja przerzutowa do gazu. Naszych starszych braci w wierze zapędzili do roboty w fabryce Łubieńskiego. A potem, jak ich do cna wyeksploatowali, część odesłali do obozów, a reszcie, która nie zmieściła się do przeciążonych transportów, urządzili krematorium w dawnej drewnianej szkole im. Staszica. Chyba coś koło setki tam spalili żywcem. Wśród nich byli i Rosenbaumowie.

Bartek spróbował to sobie wyobrazić jako scenę z powieści, którą mógłby napisać. Jednak wszystkie słowa wydały mu się za małe dla oddania grozy, którą przyniosła myśl o paleniu ludzi żywcem. Przebiegł go dreszcz trwogi – i bynajmniej nie była to oklepana figura stylistyczna z opowiadania Erika-Emmanuela Schmidta, jaką mogłaby w swojej recenzji napiętnować Agnieszka Wolny-Hamkało, lecz jak najrealniejsze poczucie, że jego wyobraźnia stoi wobec czegoś, co ją przekracza. Czegoś podobnego doznał w liceum, kiedy czytał *Medaliony* i *Pożegnanie z Marią* – jego percepcja osiągnęła pułap, na którym mógł jedynie konsumować kreowane słowami makabryczne ujęcia, nie dotykając ich istoty.

– Ale jakim cudem chłopak się uratował? – dociekał Waldek. – Jakoś udało mu się uciec z pożaru? Ktoś go wyciągnął?

– Na pewno w ogóle go w tej szkole nie było – zaoponował pan Remigiusz. – Na mój gust mogło być tak, że stary Rosenbaum załatwił mu przechowanie. Musieli przeczuwać, że getto już długo nie pociągnie. Może przeszmyglowali małego za druty? Mieli różne swoje sposoby. Za kilka uncji złota niejednego gospodarz we wsi zgodziłby się przetrzymać dzieciaka. Dobrze, że wziął w łapę i Niemcom nie sprzedał. Bo i tak bywało.

Sobotka zabrał czystą kartkę z kupki leżącej przed nim i paroma zamaszystymi pociągnięciami ołówka narysował na niej tabelkę do wpisywania tematów na przyszły tydzień. Puścił ją w obieg.

– Liczę, że nasz czołowy literat znajdzie odpowiedzi na te pytania.
– Uśmiechnął się ironicznie do Bartka. – Zajmie się pan tą sprawą. W końcu to też jakby kultura. Pogada pan z Cieleszem, dowie się od niego, kiedy ten cały Rosen przylatuje, a jak już przyleci, zrobi pan z nim wywiad. Bez unikania trudnych pytań. Proszę się z nim nie pieścić, jak to pan ma w zwyczaju. Rozumiemy się?

Bartek, jak nigdy, był skłonny przychylić się do wytycznych naczelnego.

Niezawodny radar, udoskonalony podczas spowitych w czarny obłok miesięcy, zasygnalizował mu, że Paulina się obudziła. Otworzył oczy przekonany, że wolałby nie wiedzieć dlaczego. Ciemność pokoju wypełniał jednostajny szklisty łoskot intensywnego wiosennego deszczu, a gdzieś w oddali mruzczały pierwsze grzmoty, nieśmiałe i niepewne, czy zima rzeczywiście już skapitulowała.

Zobaczył żonę siedzącą w łóżku. Ledwie jaśniejąca plama jej pleców dygotała od niemego spazmu, skołtunione włosy zasłaniały twarz. Paulina, szarpiąc je w zaciśniętych pięściach, kiwała się w przód i w tył niczym pacjent szpitala psychiatrycznego balansujący na krawędzi katatonii. Bartek wiedział, że jest to porównanie wyjątkowo adekwatne do stanu, w jaki wpędzały ją te ataki, fugi, epizody, czy jak tam jeszcze by je nazwała jej nielitościwie droga terapeutka. Gdy na nią spadały – a z reguły zdarzało się to właśnie w nocy, co paradoksalnie było znacznie gorsze od nagłych dziennych zaćmień, w jakie obfitowała początkowa faza – jej jaźń jak gdyby zatrzaśkiwała się w niedostępnej wieży, z której nie dawało się jej wyłuskać. Czasem Bartek musiał nią potrząsać – niekiedy naprawdę silnie – by przez kurtynę łez spojrziała na niego przytomnie, czy choćby półprzytomnie.

A teraz to znów się działo – teraz i Bóg wie ile razy przedtem, gdy nie miał o niczym pojęcia, bo stępiony okresem względnego spokoju szósty zmysł nie wysłał ostrzegawczego impulsu. Bartek uniósł się nieznacznie na łokciu.

– Hej, słyszysz mnie? Jesteś tu w ogóle?

Brak reakcji.

– Mówię do ciebie! – Nie umiał opanować drżenia głosu, w którym obok lęku i dezorientacji rezonowała spora dawka wściekłości.

Czarny, pożyłkowany purpurowymi rozbłyskami obłok, który przez zimę niósł ich w swoim brzuchu, znowu kłębił się w nogach łóżka, wystawiał rozdwojony węzowy język i przez kołdrę lizał go w stopy. *Zaś imię jego Paranoja* – pomyślał Bartek historycznie. Paranoja, która otacza cię przypominającą nylonową pończochę barierą odgradzającą od rzeczywistości, wystarczająco elastyczną, by można ją było nawet dość daleko naciągnąć, lecz przy tym nieprzeniknioną i do tego stopnia spójną, że nie sposób jej rozedrzyć. Aż w końcu docierasz do krytycznego punktu, za którym napięte do granic wiązania atomów zaczynają z wizgiem wracać do wyjściowego położenia, po drodze zgniatając twój umysł, ścierając go w proch. Nie uciekniesz przed tym, tak jak zapędzeni do drewnianego baraku cisowscy Żydzi nie mieli szans na umknienie z płomieni.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej karku. Skóra była sucha i chłodna. Przejechał opuszkami po wypukłościach kręgow, dotarł do szwu obrębiającego łódkowate wycięcie koszulki nocnej i ponownie powędrował w górę, choć nie miał wielkiej nadziei, że pieszczota cokolwiek da. Pauliny tu nie było – przebywała zamknięta w swojej wieży, wysokiej i pozbawionej drzwi, do której uniósł ją obłok. Bartek usiadł, otoczył ją ramionami i mocno przytulił, nie przestając wzywać jej po imieniu. Cienkie jak włos lewe ramięczko zsunęło się, co w dawnym życiu, w którym nie musiał testować sprężystości paranoidalnej pończochy, uznałby za cholernie ponętne, a może nawet odczytałby jako zaproszenie do zabawy. W czasie po – przypuszczał, że ten podział będzie im towarzyszył już zawsze – był to po prostu skutek uboczny szarż na fortecę umieszczoną na jakimś ponurym skalistym atolu, wyjałowionym po próbach z bronią jądrową.

Zaproszenie do zabawy? – przebiegło mu przez myśl. – *Dobre sobie.* Żadne z nich już nie pamiętało, jak to smakuje. Kiedy ostatnio jej pożądał? Nawet jeśli raz na jakiś czas roztliliła się w nim iskierka, kończyło się na niezobowiązującym dotykaniu lub pozbawionej energii penetracji. Paulina twierdziła, że ciągle ma psychiczną blokadę. Stygnięcie reaktora postępowało bez zakłóceń.

Zanurzył palce w jej włosach i odnalazł twarz, gorącą od wysiłku i mokrą od łez. I to ją wytrąciło z kataleptycznego odrętwienia – zaczęła się szamotać, usiłując odepchnąć jego dłoń, a następnie spróbowała mu się wywinąć. Nie pozwolił jej, napiął mięśnie ramion i usztywnił uścisk. Przez kilka chwil trwali w śmiertelnej równowadze żywiołów, ale – co zresztą było do przewidzenia, przećwiczyli to już wielokrotnie – po kilku sekundach Paulina zwiotczała i zwolniła śluzy.

Pełen udręczenia i bólu płacz, który zawsze wtedy następował, dosłownie – i znów nie była to anachroniczna maniera literacka – ranił mu serce (to duchowe i to znajdujące się pod żebrami); wrażał się w nie jak długi odłamek poszarpanego na ostrych krawędziach szkła. Płacz kulminował w żalonym, nabrzmiętym skargą wyciu, to znowu cichł do poziomu ledwie słyszalnego jęku, od którego był tylko krok do wieży na skałach – i tak na przemian, aż do wyczerpania. Bartek, nauczony doświadczeniem, nic nie mówił, nie starał się jej pocieszyć, ani uspokoić. Pozwalał się temu nieprzynoszącemu żadnego oczyszczenia wulkanowi wypalić. Ale choć cierpiał niemal fizycznie, niejako odprężenie przynosiła mu świadomość, że Paulina jednak wróciła.

Jeszcze ten jeden raz.

– Coś ci się przyśniło – odezwał się, kiedy ostatnia fala erupcji zaczęła opadać, co odczytywał po słabnącym natężeniu dreszczy.

Potaknęła ruchem głowy. Więc teraz zaczniesz się taniec obłudy. Układ choreograficzny mieli doskonale opanowany. On zapyta ją o sen, a ona odpowie, że był tak straszny, iż wolałaby go już nie wspominać. On będzie nalegał, przekonując

ją ciepłym tonem psychoterapeuty, że duszenie złych rzeczy nigdy nie wychodzi na dobre i ulży jej, jeżeli to z siebie wyrzuci. Ona będzie się wzbraniać, jednak jej opór stopniowo zacznie słabnąć; aż w końcu, kawałeczek po kawałeczku – jak gdyby z psiego przelyku wyciągali szmacianą lalkę niefrasobliwie pochłoniętą w zabawowym ferworze – wywlecze z trzewi parujący zgnilizną koszmar.

Scenariusz zadziałał bez zarzutu. Paulina, trupio blada, dygocąc z zimna i resztek niedawnych emocji, z pancerzem gęsiej skórki na przedramionach i plecach, zaczęła mówić zmęczonym, zdartym głosem:

– Byłam tam, w szpitalu, na sali operacyjnej. Ale nie jako pacjentka, tylko jakby poza własnym ciałem, jakbym się od niego odłączyła, jak w tych głupich historyjkach o śmierci klinicznej. Słyszałam szum i pikanie aparatury, widziałam ubranych na zielono lekarzy pochylających się nad jaskrawo oświetlonym stołem. Stałam za ich plecami, ale nie musiałam zaglądać im przez ramię, bo patrzyłam przez nich na wylot. Na stole było moje ciało, prawie w całości przykryte chustą.

Bartek jej nie przerywał. Czekał, domyślając się dalszego ciągu.

– Nogi miałam rozłożone i unieruchomione w strzemionach, a oni – skurcz, który przez nią przebiegł, był tak silny, że zaszczękała zębami – oni to ze mnie wyjmowali. Wyjmowali nasze dziecko za pomocą szczypiec, którymi uchwycili je za główkę. Lała się krew, tak strasznie dużo krwi. Chlustała mi z pochwy niczym z jakiegoś zarzynanego wieprza. Obryzgiwała im fartuchy, tak że nie wyglądali jak lekarze, tylko jak rzeźnicy, albo jak chłopci na wsi przy świniobiciu. Ale najgorsze okazało się to, że nasze dziecko wcale nie było martwe. Okropnie wrzeszczało i ten krzyk rozlegał się tylko w mojej głowie. Chciałam im powiedzieć, że to pomyłka, żeby je tam z powrotem wepchnęli, zanim się udusi, bo przecież nie ma jeszcze wystarczająco rozwiniętych płuc i nie może samodzielnie oddychać. Ale oni by mnie nie usłyszeli, bo przecież byłam duchem, ciałem astralnym, czy jak tam jeszcze się to cudactwo zwie.

Bartek poczuł, jak oddech zamienia mu się w płynny azot. Część jego umysłu irracjonalnie wrywała się, żeby sprostować nieścisłości, które wkradły się do jej snu. Obumarły płód wcale przecież nie został usunięty przez drogi rodne, bo był za duży na ulegnięcie autolizie czy na tyle zaawansowanej maceracji, by dało się go wyłyżczkować bądź odessać próżniowo. Dlatego, gdy nie powiodły się próby sprowokowania indukowanego porodu poprzez podawanie wywołującego skurcze Cytoteku, zdecydowano się na interwencję chirurgiczną. Poza tym zabieg został przeprowadzony w osiemnastym tygodniu, kiedy płód nie jest w stanie przeżyć poza macicą, a co dopiero płakać. W Wielkiej Brytanii, gdzie prawo dopuszcza aborcję nawet pod koniec drugiego trymestru (co jest absolutnym europejskim rekordem), zdarzają się wypadki, że po wstrzyknięciu do worka owodniowego zasadowego roztworu soli, mającego doprowadzić do ustania czynności biologicznych płodu przed wycięciem go z organizmu, rodzą się żywe i zdolne do oddychania o własnych siłach osobniki, których śmierć następuje dopiero wskutek celowego zaniechania opieki. Jednak w przypadku ich dziecka to nie byłoby możliwe!

I lepiej, żebyś to sobie zapisała na karteczce i przypięła magnesami do lodówki, żeby wryło ci się jak mantra.

Katarzyna Woźniak: HYDRA PAMIĄTEK

Nowa miasto, nowa miłość, nowa przygoda.

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń. Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze?

Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc?

Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?

Anna, będąc świadkiem śmiertelnego wypadku, uświadamia sobie, że jej wypełnione karierą życie tak naprawdę pozbawione jest sensu, emocji i głębszej treści. Ona już jest jak martwa. Nikogo nie kocha, niczego nie pragnie, nie ma pewności, czy to, co osiągnęła, było jej celem, czy spełniała tylko oczekiwania innych. Targana wątpliwościami, dręczona poczuciem niespełnienia, podejmuje próbę porzucenia wyuczonych przez społeczeństwo nawyków i wartości. Opuszcza rodzinny kraj i wkracza do zupełnie nowego świata...

Joanna Łukowska: PAŃSTWO TAMICKIE

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.

Marian Kowalski: MROCZNE DZIEDZICTWO

Opowieść o miłości, przeznaczeniu i... czarownicach.

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym terażniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy. W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich. W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych

a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Joanna Łukowska: ULICA ABRAHAMA

Podróż przez życie, ocean, czas.

Magiczna opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o marzeniu, które powiedzie Abrahama Zimmermana za ocean. O innym Abrahamie, który po półtora wieku podejmie dzieło swego przodka. Historia przyjaźni między żydowskim chłopcem, spragnionym wiedzy i ksiązek, a starym Szkotem, księgarzem i agnostykiem. Powieść o zadawaniu pytań i szukaniu odpowiedzi. Także intymny traktat o starzeniu się i śmierci na własnych warunkach. Rodzaj literackiej metafory, współczesnej przypowieści o życiu, odchodzeniu, braniu odpowiedzialności za siebie i innych, o prawdzie skrytej tak głęboko, że ujawnia się jedynie w snach.

Mały Abraham nie pasuje do swojej ortodoksyjnej kupieckiej rodziny. Ma marzenia, pasje i chce tworzyć, jeżeli już nie coś innego – to chociaż swoje życie. Wprawia w zakłopotanie bliskich, denerwuje ich oraz nieustannie martwi. Ojciec próbuje go okiełznać, wysyła syna do szkoły, znajduje mu żonę... Ale pasje Abrahama są częścią jego duszy. Rozumie to Angus, stając się dla młodzieńca przyjacielem i przewodnikiem. Intuicyjnie rozumie to także młodzianka Izebel, która kocha swojego dziwnego męża tak, jak potrafi: po cichu, skromnie, choć z całego serca, przyjmując go takim, jaki jest. I bez wahania rusza wraz z nim w daleką podróż, gdzie czeka na nich nowy świat...

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomięjski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza, modelka i celebrytka – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądanie kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...?

Witek Łukaszewski: DIALOGI 2. JIM MORRISON & PABLO PICASSO

Proza pisana wierszem

Dialogi 2. Jim Morrison & Pablo Picasso to zderzenie dwóch światów i osobowości o jakże odmiennych poglądach na życie, sztukę i kobiety. Morrison i Picasso – dwóch samotnych geniuszy

otoczonych tłumem wiernych poddanych i Paryż – jako sceneria ich spotkania w ostatnich dniach czerwca szalonego 1971 roku. Młodość, która właśnie umiera, i tonąca powoli starość trzymająca się kurczowo brzytwy. Dziś wiemy, że czas – bezwzględny weryfikator – obszedł się z nimi łaskawie. Tym bardziej warto przeczytać! Dla fanów Morrisona lektura obowiązkowa.

Proza, która staje się poezją. Wiersze, które czyta się jak fascynującą powieść Niełatwą, bo autor nie idzie na łatwiznę, ale... pochłania się ją błyskawicznie! Fakty mieszają się z wyobraźnią literacką, a poetyckie monologi przeplatają błyskotliwe rozmowy. Z drugiej strony *Dialogi 2* to lektura dająca do myślenia, osadzająca się w uczuciach i pamięci. Kto raz po nią sięgnie, będzie do niej wracał, by odnajdywać wciąż coś nowego.

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworysz i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?